

„Nie umierajcie tak jak ja!”

Tomasz Zarębski

Mural, Belfast 2012
fot. Marek Wasilewski
[s. 76, 81]



W 1961 roku Matt Busby, legendarny menedżer Manchesteru United, otrzymał od Boba Bishopa telegram następującej treści: „Myślę, że odnaleźliśmy geniusza”. Wiadomość przyszła z Belfastu, entuzjastyczna zaś opinia odnosiła się do 15-letniego George’a Besta. Młodzian nieco wcześniej został uznany przez szkoleniowców w lokalnym klubie Glentoran za zbyt cherlawego, by zawodowo zajmować się kopaniem piłki.

Fotografie. Najstarsze datowane na lata 60. minionego stulecia, najnowsze w zasadzie współczesne. Na każdej ta sama, dostojna postać urodzonego przywódcy, człowieka o niezachwianej wierze we własne możliwości. Przewracając kartki albumu, dostrzegam, że sportową koszulkę coraz częściej zastępuje świetnie skrojony garnitur, a ciemna czupryna, trochę nieudolnie maskująca wydatne zakola, ustępuje miejsca srebrzyście falującym, starannie zaczesanym ku górze włosom. Niebieskie oczy od pewnego momentu spoglądają na świat przez gustownie dopasowane okulary. Przybywa też zmarszczek, owal twarzy zaś pęcznieje nieco w poziomie, dając jasno do zrozumienia, że latka lecą nieubłagane. Lecz biologiczna egzystencja nie narusza ani trochę esencji portretowanego mężczyzny. Bo Franz Anton Beckenbauer pozostał „Cesarzem”, na którego życiowej drodze sukcesy wyrastają niczym grzyby po deszczu: mistrzostwa Bundesligi, Puchary Niemiec, klubowe Puchary

Europy, medale mistrzostw świata i Europy, w tym te najważniejsze, pokryte złotym kruszcem. Nie brakuje też indywidualnych nagród i odznaczeń: dwukrotnie Złota Piłka dla najlepszego futbolisty świata, ponadto wszelkiej maści krzyże i order. Piłkarz i trener sięgający po największe laury, teraz jako honorowy prezes Bayernu Monachium walczy o kolejny, piąty już w historii klubu, Puchar Europy.

Istnieją ludzie, którzy „wrzuceni-w-swiat”, by posłużyć się frazą pożyczoną od Martina Heideggera, potrafią ten świat bezwarunkowo sobie podporządkować. Otoczeni wianuszkami przyjaciół wytrwale pokonują przeszkody i, czerpiąc z niepowodzeń dodatkowe pokłady sił, odnotowują kolejne tryumfy. Wrogowie szanują ich, a nierzadko nawet podziwiają. Takich szczęściarzy podziwiamy zresztą wszyscy.

Tymczasem po drugiej stronie psychofizycznego uniwersum, wbrew temu, czego można by oczekiwać od bezwzględnej logiki dychotomicznego porządku, nie odnajdziemy idealnych nieudaczników. Mamy za to plejadę typów niedoskonałych, skrętnie omijanych przez elegancików obmyślających poradniki „Jak zostać super...”. Większość z nich (nas?) dość dobrze opisuje słowo „przeciętny”. Ale zdarzają się przypadki trudniejsze, a przez to ze wszech miar intrygujące, kto wie, może nawet tworzące trzeci człon naszego podziału. Są to ludzie znani i lubiani, cieszący się powodzeniem u płci przeciwnej, zamożni, wreszcie posiadający „to coś” – talent czy, jak wolą inni, dar od Boga lub Natury. Wszystko mają na wyciągnięcie ręki i w zasadzie nic nie stoi na przeszkodzie, by stali się prawdziwymi herosami. A jednak...

W 1961 roku Matt Busby, legendarny menedżer Manchesteru United, otrzymał od Boba Bishopa, zajmującego się wtedy wyszukiwa-

niem utalentowanych piłkarsko dzieciaków, telegram następującej treści: „Myślę, że odnalazliśmy geniusza”. Wiadomość przysłała z Belfastu, entuzjastyczna zaś opinia odnosiła się do 15-letniego George’a Besta. Młodzian nieco wcześniej został uznany przez szkoleniowców w lokalnym klubie Glentoran za zbyt cherlawego, by zawodowo zajmować się kopaniem piłki. Na szczęście Bishop nie miał zwyczaju przejmować się cudzymi opiniami. Był pewny swego i nie pomylił się ani trochę.

Dwa lata później Best zadebiutował w seniorskiej drużynie „Czerwonych Diabłów”. Już jego pierwsze spotkanie, w którym podopieczni Busby’ego zmierzyli się z West Bromwich Albion, pokazało kibicom, jaki skarb trafił się ich ukochanemu klubowi. Ale meczem, który potwierdził pozycję Besta w światowym futbolu, było starcie z Benficą Lizbona w rozgrywkach Pucharu Europy w roku 1966. Portugalczycy mieli w swoim składzie wielkiego Eusebio i już choćby ten fakt sprawiał, że przed graczami United stało bardzo trudne zadanie. Jednak fenomenalny Irlandczyk uczynił owo zadanie dużo łatwiejszym, niż wszyscy sądzili. Best wygrał mecz w zasadzie w pojedynkę, wbijając rywalom trzy gole. Później swój wyczyn powtórzył, choć ze skromniejszą zdobyczą bramkową. W finale Pucharu Europy w roku 1968 trafił do siatki Benfiki zaledwie raz, ale za to w momencie, gdy drużyna tego najbardziej potrzebowała – w 92. minucie meczu. W regulaminowym czasie gry był remis 1:1 i to właśnie Best, w doliczonym czasie gry, otworzył drogę do zwycięstwa. Potem trafiali jeszcze Brian Kidd (94. min) i Bobby Charlton (99. min). To było 7 minut, które wstrząsnęły Portugalią. Po tamtym meczu Eusebio miał powiedzieć, że nie jest mu wstyd, bo przegrał z wielkim mistrzem. Oczywiście mówił o zawodniku, za którym na Old Trafford tysiące rozemocjonowanych gardeł krzyczało „George The Best”!

Nie było to jedyne przezwisko. Mawiano także: „The Belfast Boy”, „Georgie Boy”, wreszcie „Piąty Beatles”. Ostatnia ksywka jest szczególnie idiomatyczna. Wcześniej miejscem futbolowych gwiazd były stadiony, lecz dla Besta otoczona trybunami murawa była stanowczo za ciasna. On był gwiazdą skrojoną według nowoczesnego wzorca, idealnie dopasowaną do potrzeb pokolenia urodzonego tuż po wojnie. Ze swoimi długimi, jak na owe czasy, włosami, nonszalanckim zachowaniem i pełnym fantazji stylem gry trafił w czasoprzestrzeń jakby stworzoną specjalnie dla niego. Młodzi ludzie nie pamiętali walki z hitleryzmem, ani tym bardziej przedwojennych odblasków XIX-wiecznej imperialnej świetności Zjednoczonego Królestwa, i coraz bardziej dystansowali się wobec świata wartości własnych rodziców. Nobliwi kibice i jeszcze bardziej nobliwi piłkarze na wzór Stanleya Matthews’a, o którego grze Georgie Boy, bez cienia ironii, powiedział: „Było to tak, jakby na boisku znalazł się członek rodziny królewskiej”!, odchodzili w przeszłość. Rewolucja seksualna, studenckie protesty, ekstrawagancka moda, bigbitowe i rockowe brzmienia – wszystko to stanowiło doskonałe tło dla barwnej osobowości Besta. Ten w okamgnieniu dogadał się z popkulturowym światem. Powstało coś na kształt układu symbiotycznego, w tym jedynie różniącego się od znanych nam współcześnie mariaży sportu z show-biznesem, że gwiazdor Manchesteru United bardziej samodzielnie wyznaczał trendy własnego stylu. I nic w tym dziwnego, bo przecież marketingowa maszyna dopiero się rozkręcała, szukając najbardziej intratnych punktów odniesienia i mechanizmów manipulacji. W roli „próbego modelu” Best sprawdził się znakomicie.

Tworząc własną markę, „Chłopak z Belfastu” popisywał się nadzwyczajną wręcz intuicją. Świetnie wiedział, co i kiedy powiedzieć, gdzie

się pokazać, z kim sfotografować. Ludzie go uwielbiali i chcieli być tacy jak on. Kiedy postanowił skrócić włosy i odwiedził w tym celu salon fryzjerski niejakiego Malcolma Wagnera zwanego Waggy, jakimś cudem dowiedzieli się o tym dziennikarze. Byli przekonani, że Best powinien w tym czasie przebywać na zagranicznych wakacjach. Oczywiście nie omieszkali zapytać o rzekomą zmianę planów. Piłkarz odrzekł: „Po prostu wpadłem tutaj się ostrzyć, jak tylko Waggy skończy, wracam do Hiszpanii”. Gryzipiórkowe towarzystwo podskakiwało z radości, biegnąc do swoich redakcji z newsem: **GEORGE BEST PRZERYWA WAKACJE NA MAJORCE, BO MA WIZYTĘ U FRYZJERA!**¹. Tym samym salon Waggy’ego stał się na jakiś czas najpopularniejszy w całym Manchesterze. Podobnych historyjek było bez liku.

W bezpośrednim sąsiedztwie salonu Wagnera Georgie przez pewien czas prowadził własny butik z modą, służący mu przede wszystkim jako miejsce schadzek z licznymi, przygodnymi kochankami. Mniej więcej w tym samym czasie otworzył też dwa nocne kluby, których był żywą reklamą. Prawdę mówiąc, nie było w nim żyłki biznesmena, bo wbrew własnym interesom z zapalem wspierał też przedsięwzięcia konkurencji. Kiedy imprezując – zawsze do bladego świtu i w towarzystwie pięknych kobiet – zmieniał kolejne lokale, ciągnął za nim sznureczek wielbicieli. Nieraz była ich ponad setka! Best był w centrum uwagi, działał jak magnes. Każdy chciał go poznać, wypić z nim drinka, chwilę pogadać lub choćby pooddychać tym samym, zadymionym powietrzem popularnej knajpy. Masowe media, podobnie jak teraz, operowały głównie obrazami – kolorowa prasa i rodząca się wtedy kolorowa telewizja potrzebowały przystojnego, zawsze uśmiech-

niętego i skorego do zabawy młodzieńca, który ubrany w najmodniejsze ciuchy rozmiękczy kolana nastolatek i wzbudzi chęć papugowania wśród facetów. Przy czym ważne było, że ów przystojniak nie zalicza się do grupy hałaśliwych muzyków, lecz jest piłkarzem. To stanowiło pomost łączący pokolenia. Czterdziestocztery pięćdziesięciolatki mogli zgrzytać zębami, słysząc Help! Beatlesów, kręcić z niesmakiem głowami, widząc hipisowskie fatałachy, i smuć się z powodu nieodwracalnego upadku mieszczańskiej moralności, ale przecież nie byli w stanie zakwestionować sportowej klasy George’a Besta.

„The Belfast Boy” grał w piłkę tak, że kibicom zapierało dech w piersiach. Dryblował z ogromną łatwością, strzelał lewą i prawą nogą, podczas meczu wpadał na pomysły, które innym zawodnikom wydałyby się czystym szaleństwem. A on te pomysły umiał zrealizować! Strzelić z niemal zerowego konta, widząc, że bramkarz niczego się nie spodziewa, wjechać z piłką do bramki, mijając po drodze kilku obrońców, uderzyć z woleja albo głową tuż przy słupku – żadne z tych zagrań nie było dla niego za trudne. Występując w latach 1963–1974 w barwach Manchesteru United, zdobył 178 bramek, do niego też należy klubowy rekord największej liczby goli w jednym spotkaniu – 8 lutego 1970 roku przeciwko Northampton Town zdobył ich aż sześć. Z „Czerwonymi Diabłami” sięgnął po Puchar Europy i dwukrotnie po mistrzostwo Anglii. W 1968 roku, a więc wtedy, gdy w finałowym meczu o Puchar Europy przyćmił samego Eusebio, otrzymał Złotą Piłkę i został wybrany przez dziennikarzy graczem roku. Wydawało się, że pasmo sukcesów nie ma końca.

Lecz w 1974 roku Best opuścił Manchester i przeniósł się do Stockport County. Potem piłkarskie losy genialnego Irlandczyka najlepiej +

¹ Best G., **Strzał w przerwie**, przekł. Kaczyński M., Rosiński T., Poznań 2007, s. 18.

² Ibidem, s. 130.

oddaje słowo „tułaczka”. Do roku 1983, kiedy to zakończyła się jego zawodowa kariera, zaliczył dziewięć zespołów, tylko od czasu do czasu dając kibicom satysfakcję podobną do tej sprzed lat, kiedy całe Old Trafford w uniesieniu skandowało jego imię. Prawda była taka, że sprawy szły coraz gorzej, ale Georgie Boy nie potrafił i prawdopodobnie nie chciał tego dostrzec, choć na jego drodze pojawiali się od czasu do czasu ludzie dający mu jasno do zrozumienia, że brnie w ślepą uliczkę:

„Bawiłem się w kasynie w Birminghamie z Mary Stavin. To było zaraz po tym, jak została Miss Świata. Mieliśmy cholerne szczęście i wyszliśmy stamtąd z dwudziestoma tysiącami w kieszeni. [...] Kiedy weszliśmy do pokoju, Mary zrzuciła z siebie ubranie, a ja rozłożyłem banknoty na łóżku i zacząłem je liczyć. Podniecony zawrotną sumą, którą udało nam się wygrać, zadzwoniłem do recepcjonisty i kazałem sobie przynieść butelczynę pocziwego szampana Dom Perignon”.

Rzecz jasna, portier spełnił życzenie, przynosząc czym prędzej zamówioną „butelczynę”. Otrzymałszy za fatygę sowity napiwek, zmierzał już ku wyjściu, gdy nagle przystanął i zwrócił się do byłego gwiazdora „Czerwonych Diabłów”:

„– Panie Best, czy mogę pana o coś spytać?

– Wal śmiało – odpowiedziałem.

Ponownie spojrzął na Mary, na forszę leżącą na łóżku, a potem na mnie i na jego twarzy ujrzałem autentyczne współczucie.

– Proszę mi powiedzieć, panie Best, jak to się wszystko stało? Gdzie się to wszystko zaczęło pieprzyć?³

Choroba alkoholowa Besta rozwijała się od wczesnej młodości. Gdy przybył do Manche-

steru, miał zaledwie 15 lat, a przecież już dwa lata później stał się jedną z największych gwiazd United. Choć zabrzmiało to banalnie, można powiedzieć, że popularność spadła na niego zbyt wcześnie. Od dziecka nieśmiały, wstydzący się swojego północnoirlandzkiego akcentu, alkoholem dodawał sobie odwagi. Dopóki pijąc, nie zawałał treningów i meczów, lecz jedynie irytował trenerów i, od czasu do czasu, także kolegów z klubu, nikomu nie przyszło do głowy, by w „słabości” Besta upatrywać poważniejszych problemów. Były to czasy, gdy picie traktowane było dość pobłażliwie. Lecz w największym stopniu rozpoznanie powagi sytuacji uniemożliwiła „Chłopakowi z Belfastu” jego pozycja niekwestionowanej gwiazdy. Gra w piłkę stanowiła tylko jeden z elementów wizerunku, który jego użytkownikowi coraz bardziej wymykał się spod kontroli. Best był przecież wzorowym utracjuszem i kobieciarzem, jedynym sportowcem regularnie goszczącym na pierwszych stronach bulwarowej prasy. Czy ktoś mógł sobie wyobrazić, że nagle zrezygnuje z tego wszystkiego, podejmie terapię uzależnień i zacznie uczęszczać na mityngi Anonimowych Alkoholików? Stare powiedzenie głosi, że lepiej być znanym pijakiem niż anonimowym alkoholikiem. Do nikogo ta „prawda” nie przemawiała równie skutecznie jak do Besta.

Po odejściu z Manchesteru United, choć tak naprawdę już na początku lat 70. problemy z alkoholem przybrały na sile, Georgie Boy coraz częściej mógł o sobie mówić, że jest gwiazdą, lecz z pewnością nie gwiazdą futbolu. Tym samym zaczął kruszeć fundament, na którym utrzymywała się jego medialna i finansowa pozycja. A ponieważ „układ symbiotyczny” wymagał zarówno piłkarskiego kunsztu, jak i hulaszczego trybu życia, Best znalazł się w prawdziwie tragicznej sytuacji. W jego życiu prywatnym przybywało skandali. Nie były

³ Ibidem, s. 130.



to jednak ekscesy, które przynosiły dodatkową popularność, lecz pijackie wybryki pełne upokorzeń i wstydu, na które niedawni wielbiciele reagowali zażenowaniem i dezaprobatą. W najlepszym wypadku śmiali się do rozpuku, kiedy Best robił z siebie kompletnego błazna. Może gdyby jednocześnie wciąż zachwycał swoją grą, sen trwałby nadal?

Na dobrą grę nie pozwalał już jednak stan zdrowia. Prawdę rzekłszy, nie pozwalał już nawet na normalne, codzienne funkcjonowanie. Wycieńczony latami picia organizm coraz częściej odmawiał posłuszeństwa. W końcu konieczny stał się przeszczep wątroby. W 2000 roku Best trafił do szpitala w Londynie, gdzie przeszedł z powodzeniem operację. Dowiedziawszy się o jego kłopotach zdrowotnych, kibice zareagowali wspaniale, śląc do szpitala tysiące kartek

pocztowych i listów pełnych słów wsparcia dla żywej piłkarskiej legendy. Niestety, były najlepszy futbolista świata nie zaprzestał picia. Chociaż w roku 2004 spróbował wrócić do sportu, przyjmując posadę trenera drużyny młodzieżowej Portsmouth F.C., nie sprostał temu wyzwaniu. Kilkanaście miesięcy później nerki odmówiły posłuszeństwa. Tym razem nic nie dało się zrobić. George Best zmarł 25 listopada 2005 roku, w wieku zaledwie 59 lat. Niegdysejszy „Książę życia”, przystojniejszy od wszystkich agentów 007 razem wziętych, odszedł jako wrak człowieka, zaliczając po drodze wszystkie stadia biologicznego upadku. Tuż przed śmiercią sfotografowano go leżącego w szpitalnym łóżku i podtrzymywanego przy życiu przez specjalistyczną aparaturę. W przerażająco chudych rękach trzymał kartkę z napisem: „Nie umierajcie tak jak ja”. ●